Dom i rodzinne tradycje Leszka Wyczółkowskiego



Leszek Wyczółkowski (z prawej) z ojcem, Witoldem Wyczółkowskim podczas wernisażu w Muzeum Chełmskim, 2009 r., fot. Grzegorz Zabłocki.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Interesowałam się kiedyś rodzinami, w których kultywowane były tradycje. I tak np. w rodzinie Krasickich dominowały zainteresowania literaturą i twórczością poetycką, w rodzinie majora Hubala-Dobrzańskiego

kontynuowane były tradycje patriotyczne i sportowe, a w pana rodzinie dominuje tradycja artystyczna, malarstwo i grafika.

Leszek Wyczółkowski:

Taka rodzinna tradycja na pewno dopinguje, ale też stwarza dodatkowe trudności. W Polsce nad tymi, którzy noszą nazwisko Wyczółkowski i zajmują się sztukami pięknymi, wisi ogromny ciężar. Są jakby pod lupą. Zapewne dlatego aż cztery razy zdawałem do Akademii Sztuk Pięknych. Później ktoś mi powiedział, że zdawano sobie z tego sprawę, że po skończeniu Akademii będę konkurencją na rynku sztuki dla jej profesorów. A w Ameryce moje obco brzmiące nazwisko w zasadzie przeszkadza, bo nikt nie jest w stanie poprawnie go wymówić. Z Leszkiem mają już problemy, a co dopiero z Wyczółkowskim.

Urodził się pan w Zielonce pod Warszawą. Czy ten dom nadal istnieje?

Dom, w którym mieszkał mój ojciec spłonął w czasie okupacji. Mój dom rodzinny w Zielonce zbudował ojciec mojej mamy, Michał Gil, który przed wojną był Piłsudczykiem, a wielu oficerów Piłsudskiego budowało wtedy domy w letniskowych miasteczkach pod Warszawą. Dziadek zmarł w czasie wojny, więc go nie znałem, ale zostało po nim mnóstwo pamiątek. Buszowaliśmy z bratem na strychu i znajdowaliśmy wiele

„skarbów”, portrety Piłsudskiego, stare fotografie. Wszystko później gdzieś poginęło.

W tym domu w Zielonce mieszkali moi rodzice. Ojciec, mimo swoich lat do końca malował. Poza tym jego drugą pasją był ogród, miał masę kwiatów. Bawiło mnie, że nie miał pamięci do nazwisk, a wszystkie łacińskie nazwy kwiatów mógł podać błyskawicznie. I malował te swoje ukochane kwiaty, głównie irysy. Był też znakomitym portrecistą. Podczas studiów w Poznaniu zdarzało się, że profesorowie prosili go, aby malował im portrety. Teraz w naszym rodzinnym domu w Zielonce, mieszka mój brat, Zbigniew z rodziną.

Jaki był pana dom rodzinny?

Dom był radosny i przepojony ciepłem rodzinnym. Od dziecka wyrastałem w tradycji sztuki i w artystycznej atmosferze. Już w wieku trzech lat, chodziłem ze swoim ojcem w plenery. Ojciec rozkładał farby i malował jakiś pejzaż. Ja też miałem swoje małe płócienko, własną kasetę z farbami i także malowałem. Naśladowałem ojca. I od kiedy pamiętam, towarzyszyłem ojcu w pracy. To on zaraził mnie swą pasją. Wiele mu zawdzięczam. Ojciec po wojnie, po studiach artystycznych, pracował najpierw w kartografii, a później w reklamie filmowej. Praca w kartografii nauczyła go precyzji, miał dzięki temu bardzo dobrze opanowany warsztat. Umiejętności warsztatowe, które zdobyłem od ojca,

przydają mi się teraz przy pracy nad grafikami i nie tylko. No i na pewno ojciec nauczył mnie zdolności obserwacji, wytrwałości i rzetelności.



Witold i Janina Wyczółkowscy (rodzice Leszka Wyczółkowskiego). Wernisaż w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, 1994 r., fot. Zbigniew Czajka.

Pamiętam wiele takich momentów z dzieciństwa, w których

moim artystycznym przewodnikiem był ojciec. Na przykład w 1953 roku zabrał mnie, wówczas trzyletniego, na słynne przedstawienie „Halki" w Operze Narodowej, mieszczącej się wtedy w gmachu „Romy" przy ulicy Nowogrodzkiej. Tak mi się ten spektakl spodobał, że długo jeszcze wyśpiewywałem arie Jontka czy Janusza, potem doszły jeszcze arie Stefana ze „Strasznego dworu". Sąsiedzi myśleli, że będę śpiewakiem, a nie malarzem. Ale mi to później przeszło.

W moim domu zachęcano mnie także do czytania. Literatura klasyczna była równie obecna, jak malarstwo. Bardzo dużo więc czytałem. Łączyłem też często literaturę z malarstwem. Pamiętam na przykład, że jako 14-latek namiętnie czytałem i malowałem Krzyżaków. Studiowałem, jak wyglądała biała broń, chodziłem do Muzeum Wojska Polskiego i robiłem szkice. Potem porównywałem je z opisem w powieści. Dochodziło do tego, że mama zabraniała mi czytania późno w nocy, ja jednak i tak czytałem z latarką pod kołdrą.

Czy w pana rodzinie pielęgnowana był pamięć o pana stryjecznym pradziadku, słynnym przedstawicielu młodopolskiej bohemy artystycznej, Leonie Wyczółkowskim?

Leona rzadko w rodzinie wspominano. Niemniej jednak wszyscy zdawali sobie sprawę z jego wielkości. Mój ojciec czasami

opowiadał o bracie swojego dziadka, ale nastawienie reszty rodziny było w stosunku do niego raczej obojętne. Powodem był mezalians. Leon Wyczółkowski ożenił się dość późno, po 50-tce i to ze swoją służącą, Franciszką z domu Panek. Dla rodziny ze szlacheckim pochodzeniem (Wyczółkowscy herbu Ślepowron pochodzili z Podlasia) takie małżeństwo nie było do zaakceptowania. A po małżeństwie „nie z tej sfery" więzy z rodziną zostały prawie zupełnie zerwane. Część rodziny się w ogóle z nim nie spotykała, a część po kryjomu. Mój ojciec opowiadał, że gdy był jeszcze małym chłopcem, razem ze stryjem, spotykali się z Leonem w jakiejś warszawskiej kawiarni, w tajemnicy przed ciotkami, gdy ten wykładał w Warszawie.

Żona Leona była mu bardzo oddana i pilnowała, żeby nie rozkradano jego prac, gdyż to się czasami zdarzało. Np. znany kolekcjoner i przyjaciel z Krakowa, Feliks Jasiński, który Leona zaraził kolekcjonowaniem grafiki, szczególnie sztuki japońskiej, podobno wynosił różne rzeczy pod peleryną. Więc zanim wyszedł z domu, Franciszka go tak sprawdzała jak obecnie na lotnisku przy odprawie celnej. Pilnowała też, żeby Leon za dużo sam nie rozdał, gdyż słynął z hojności.



Leszek Wyczółkowski (z prawej) z bratem Zbigniewem podczas wernisażu w Muzeum Chełmskim, 2008 r., fot. Witold Wyczółkowski.

Leon Wyczółkowski miał dobre serce, pomagał wielu artystom.

Jak na tamte, przedwojenne czasy, zarabiał bardzo duże pieniądze. Był na fali, należał do elity polskich twórców, obok takich artystów, jak Malczewski czy Chełmoński. Był przy tym bardzo uczynny, wrażliwy, opiekował się studentami i artystami, którym się nie powiodło. Gdy widział, że jakiś student jest biedny i nie ma czym malować, to następnego dnia przynosił mu w prezencie kasetę z pastelami lub farbami i to najlepszych firm, jakie były dostępne. Poza tym utrzymywał kilku artystów w Krakowie, którzy mieli problemy. Np. utrzymywał, a potem

zapłacił za przytułek i pogrzeb rzeźbiarza krakowskiego Antoniego Kurzawy.

Co pan sądzi o sztuce Leona Wyczółkowskiego?

Sztuka Leona Wyczółkowskiego zasłużyła sobie na poczesne miejsce w kulturze narodu polskiego. Leon był artystą o bardzo silnej indywidualności i niezwykłym talencie popartym wielką pracowitością. Był spontaniczny, pracował szybko i dużo. A jego sztuka była optymistyczna i radosna, co mi się bardzo podoba, gdyż często sztuka polska, szczególnie powojenna, jest sztuką pesymistyczną i depresyjną. W sztuce Leona Wyczółkowskiego jest dużo energii i świeżości. Mówi się, że stworzył swoisty polski impresjonizm, różniący się od francuskiego. Jego prace, szczególnie te z okresu ukraińskiego, gdzie spędził 12 lat, są niesamowicie nasycone powietrzem i światłem. To jego światło aż razi w oczy, gdy się patrzy na obraz. Piękne to są obrazy. Szkoda, że niszczył studia do swoich znanych prac z Ukrainy, które były fenomenalne.

Bardzo mi się podoba Leon jako portrecista. Jego portrety są niezwykle różnorodne, on potrafi tak inaczej przedstawić modela, a jednocześnie od razu wiadomo, że to ręka Leona Wyczółkowskiego. Malował Wojciecha Kossaka na dwa dni przed jego śmiercią. Jest to piękny, pastelowy, bardzo nastrojowy i nostalgiczny portret. Inne są portrety Chełmońskiego, czy

późniejsze portrety znanych profesorów, malarzy, poetów i przyjaciół tego okresu jak Lucjana Rydla, Jana Kasprowicza, Ludwika Rydygiera, Idalii Pawlikowskiej, Natalii Siennickiej-Duninowej, Karola Estreichera, Konstantego Laszczki i Ludwika Solskiego. Każdy z nich jest inaczej potraktowany, to są na prawdę znakomite prace. Pozostawił też po sobie wiele ciekawych autoportretów.

No i cenię grafikę Leona, którego historycy sztuki nazywają ojcem współczesnej grafiki polskiej. Do tego stopnia eksperymentował z grafiką, że często do tej pory nie wiadomo, jakich technik używał, gdyż mieszał techniki, podkolorowywał. W litografii osiągnął wręcz rzadko spotykane mistrzostwo. Później z tych prac tworzył tematyczne teki graficzne. Jest to wspaniały dorobek. Był bardzo płodnym artystą, pozostawił po sobie kilka tysięcy prac. Same prace graficzne starczyłyby na twórczość jednego artysty. Niestety, duża część jego dorobku została zniszczona w czasie wojny.



Nad Morskim Okiem, 1999 r. Od lewej: Leszek Wyczółkowski z córką Nadine, rodzice – Janina i Witold Wyczółkowscy oraz bratanek Mateusz Wyczółkowski, fot. arch. rodzinne.

Czy w pana rodzinie zachowały się prace Leona Wyczółkowskiego, które nie trafiły do Muzeum?

Niestety, dużo prac zginęło podczas wojny. Dziadek miał około 30 obrazów olejnych, a ojciec od stryja dostał portfolio, w którym było ok. 400 szkiców, pasteli, akwareli. I to wszystko zginęło. Część prawdopodobnie została skradziona, gdy zbliżał się front, a kiedy front nadszedł, nasz dom spłonął, a z nim pewnie reszta prac, która tam została.

Czy Leon Wyczółkowski znany jest w Ameryce?

W zasadzie polska sztuka w ogóle nie jest znana na tym kontynencie i nie jest reklamowana, mimo, że szczególnie przełom XIX-XX wieku był wyjątkowo ciekawym okresem w jej rozwoju. Świadczą o tym ceny na giełdach. Alfred Wierusz-

Kowalski uzyskuje wysokie ceny, bo wywodzi się ze szkoły monachijskiej, która miała kontakty z Ameryką. To samo dotyczy Chełmońskiego. Gdy mieszkał w Paryżu miał marszanda ze Stanów Zjednoczonych. Malował słynne czwórki i trójki koni, które były sprzedawane w Stanach. Zarabiał bardzo duże pieniądze, o wiele więcej niż najlepsi impresjoniści. No i w Stanach znany jest Jan Styka. Jednak nazwisko Wyczółkowski jest w słownikach, a tym, którzy handlują sztuką, nazwisko to nie jest obce.



Leszek Wyczółkowski z ojcem Witoldem (z lewej) w pracowni w Kanadzie w 2000 r., fot. arch. rodzinne.